Klany w Niemczech: społeczeństwo równoległe i słabość prawa

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Tekst stanowi głęboką analizę socjologiczną i prawną fenomenu klanów arabskich w Niemczech, które wyewoluowały w potężne struktury przestępcze. Autor wskazuje, że ich powstanie nie wynika z uwarunkowań kulturowych, lecz jest skutkiem wieloletnich zaniedbań państwa i polityki 'statusu tolerowanego'. Artykuł szczegółowo opisuje mechanizm Paralleljustiz – alternatywnego wymiaru sprawiedliwości opartego na sędziach pokoju, który podważa monopol państwa na przemoc. Czytelnik pozna metody działania grup klanowych, od spektakularnych kradzieży po pranie pieniędzy przez nieruchomości. Całość kończy się przestrogą dla Polski, podkreślając konieczność wyciągnięcia wniosków z niemieckich błędów w celu uniknięcia budowy społeczeństw równoległych i utraty kontroli nad bezpieczeństwem publicznym.

This text provides an in-depth sociological and legal analysis of the phenomenon of Arab clans in Germany, which have evolved into powerful criminal structures. The author argues that their emergence is not a result of cultural determinants but rather the result of years of state neglect and the policy of "tolerated status." The article details the mechanism of Paralleljustiz – an alternative justice system based on justices of the peace, which undermines the state's monopoly on violence. The reader will learn about the methods used by clan groups, from spectacular thefts to money laundering through real estate. The article concludes with a warning for Poland, emphasizing the need to learn from German mistakes in order to avoid the construction of parallel societies and the loss of control over public safety.

Artykuł analizuje fenomen klanów arabskich w Niemczech, dekonstruując powszechne przekonanie o ich etnicznym czy religijnym podłożu. Teza autora głosi, że klany są konsekwencją błędnej polityki państwa, polegającej na tolerowaniu imigrantów bez realnej integracji i egzekwowania prawa. Przykładem jest Berlin, gdzie status "tolerowanego" pobytu stworzył warunki do rozwoju równoległych struktur społecznych opartych na sile nazwiska i

kodeksie honoru. Autor przedstawia konkretne przypadki, od kradzieży w muzeum po oszustwa na seniorach, ilustrujące bezradność państwa wobec klanowej przestępczości. Artykuł przestrzega Polskę przed powtórzeniem niemieckich błędów, podkreślając, że kluczowa jest skuteczna integracja i konsekwentne egzekwowanie prawa, ponieważ tam, gdzie państwo się cofa, rodzi się klan.

SŁOWA KLUCZOWE

klany arabskie | społeczeństwo równoległe | Paralleljustiz | status tolerowany | integracja | endogamia | spoofing | pranie pieniędzy | sędziowie pokoju | monopol na przemoc | kod honoru | Neukölln | deportacja | przestępczość zorganizowana | kapitał strachu

Libańska wojna domowa: geneza struktur klanowych

Klany arabskie w Niemczech nie są kwestią genów ani religii. Są owocem błędnej polityki państwa. Wyrosły z tolerancji bez integracji, z prawnego zawieszenia i braku konsekwencji. Tak przez trzy pokolenia uformowały się społeczeństwa równoległe, w których policjant nie jest strażnikiem prawa, lecz zwykłym intruzem. Polska musi przyswoić tę lekcję, zanim stanie przed podobnym wyzwaniem, bo nie chodzi tu o strach, lecz o wiedzę. Klan zaczyna się tam, gdzie państwo się cofa.

A wszystko zaczęło się w Berlinie w 1989 roku. Na listach urzędów migracyjnych widniało 6 107 osób ze statusem „geduldet” – „tolerowanych”. Formalnie zobowiązanych do wyjazdu, faktycznie pozostających. Największą grupę stanowili Polacy – 2 550 osób. Dalej Libańczycy – 455 oraz Palestyńczycy i Kurdowie z Libanu – 1 225. Te liczby wyglądają jak urzędnicza statystyka, lecz kryje się w nich opowieść o dwóch różnych losach: o tym, kto stanie się częścią społeczeństwa, a kto zacznie budować własne.

Polacy, choć pracowali na czarno, mieli swoje kościoły i szkoły, a w głowach myśl o powrocie do ojczyzny. Libańczycy mieli rodzinę i honor, ale państwo nałożyło na nich zakaz pracy, zamykając ich w czterech ścianach blokowisk. To na tym zakazie, na tej przymusowej bezczynności, wzniesiono fundamenty przyszłych klanów. Trafnie ujął to „Der Spiegel” w połowie lat 90.: „Wszystko zaczęło się od tego, że ich nie deportowano, ale też nie pozwolono im normalnie żyć”. Państwo, które nie wybrało ani twardości, ani realnej integracji, samo wyhodowało swoje społeczeństwo równoległe.

Paralleljustiz: sędziowie pokoju wypierają prawo państwowe

Policja mówi o Paralleljustiz, równoległym wymiarze sprawiedliwości. Na chodniku widać to prościej: państwo nie ma tu wstępu. To terytorium, gdzie siła nazwiska waży więcej niż paragraf, a lojalność wobec rodu unieważnia lojalność wobec państwa. Historia tego zjawiska nie jest opowieścią o nagłej inwazji, lecz o powolnym procesie, w którym niemiecka demokracja, krok po kroku, oddawała pole. Zaczęło się od drobnych ustępstw, a skończyło na spektakularnych aktach pogardy, które obiegły świat.

Wiosną 2017 roku klan Rammo wyniósł z Muzeum Bodego złotą monetę „Big Maple Leaf", ciężką od historii i stu kilogramów kruszcu. Wartość: 3,3 miliona euro. Dźwięk tłuczonego szkła i uderzeń młota o metal stał się symbolem bezczelności. Policja schwytała sprawców, lecz monety nigdy nie odzyskano. Legenda głosi, że przetopiono ją na drobne kawałki, które rozpłynęły się w jubilerskich warsztatach Bliskiego Wschodu. Od tamtej pory nazwisko „Rammo" oznaczało nie tylko strach, ale i spektakularną kpinę z bezradności państwa.

Dwa lata wcześniej, w Hameln, kamienie zastąpiły słowa. Gdy członek klanu S. wypadł z okna sądu, jego rodzina otoczyła szpital, do którego go przewieziono. W stronę policjantów poleciały wyzwiska: „Wy niemieckie k**, synowie Hitlera, będziecie się palić". Zaraz potem poszły w ruch kamienie. Dwudziestu czterech funkcjonariuszy zostało rannych, lecz nikt nie został aresztowany na miejscu. To nie była zwykła bójka. To był teatr siły, czytelny przekaz dla wszystkich. Państwo w mieście nie ma monopolu na przemoc.

Jednak siła klanów objawia się nie tylko w brutalności, ale i w psychologicznej finezji. Wyobraź sobie starszą kobietę w Dolnej Saksonii, którą o szóstej rano budzi telefon. Na wyświetlaczu widnieje numer 110. Głos w słuchawce przedstawia się jako funkcjonariusz BKA i informuje, że jej oszczędności są zagrożone. Kobieta, ufając autorytetowi munduru, pakuje gotówkę, biżuterię i złoto, by oddać je „policjantowi", który już czeka pod drzwiami. To klasyczna metoda oszustwa na „fałszywego policjanta", oparta na spoofingu, czyli podszywaniu się pod oficjalne numery, i koordynowana z tureckich centrów call center. Skala procederu sięga milionów euro, a jego skutkiem są nie tylko straty materialne, ale i złamane życia. „Chciałabym umrzeć ze wstydu" – mówiły ofiary.

Strach potrafi sparaliżować nie tylko bezbronnych emerytów, ale i całe instytucje. Gdy urzędnicy budowlani w berlińskiej dzielnicy Neukölln otrzymali polecenie rozebrania nielegalnie postawionej altany Issy Rammo, odmówili wykonania zadania z obawy przed konsekwencjami. Dopiero asysta jednostki antyterrorystycznej SEK dała im odwagę do podpisania decyzji. W zdrowej demokracji urzędnik powinien bać się prawa. W Berlinie lat dwutysięcznych bał się nazwiska. Tę pogardę dla państwa ucieleśnił Ibrahim Miri, skazany za

osiemnaście przestępstw i deportowany do Libanu, który w 2019 roku po prostu wrócił do Niemiec i złożył wniosek o azyl. To nie był żart. To był policzek wymierzony Republice Federalnej.

W tym kontekście warto zadać pytanie: dlaczego w Polsce, która również przyjęła tysiące migrantów

Rammo: kradzież Big Maple Leaf i skarbca w Dreźnie

Wiosną 2017 roku klan Rammo wyniósł z berlińskiego Muzeum Bodego monetę wielkości koła samochodowego. Złota moneta „Big Maple Leaf" – ciężar historii i sto kilogramów kruszcu. Wartość: 3,3 miliona euro. Dźwięk tłuczonego szkła i uderzeń młota o metal obiegł światowe agencje. Policja schwytała sprawców, lecz samej monety nigdy nie odzyskała. Do dziś krąży plotka, że przetopiono ją na kawałki, które rozpłynęły się w jubilerskich warsztatach Bliskiego Wschodu, a nazwisko „Rammo" odtąd oznaczało nie tylko strach, ale i spektakularną bezczelność.

Dwa lata wcześniej, w Hameln, zamiast słów poleciały kamienie. Gdy członek klanu S., który wypadł z okna sądu, był przewożony do szpitala, jego rodzina zgromadziła się przed budynkiem. W stronę policjantów posypały się wyzwiska: „Wy niemieckie k..., synowie Hitlera, będziecie się palić". Zaraz potem w ruch poszły kamienie, raniąc dwudziestu czterech funkcjonariuszy. Nikt nie został aresztowany na miejscu, bo to nie była zwykła bójka. To był spektakl, czytelny przekaz dla wszystkich: państwo w mieście nie ma monopolu na przemoc.

Innym razem przemoc jest cicha, sączy się przez słuchawkę telefonu. Wyobraź sobie starszą kobietę w Dolnej Saksonii, którą o szóstej rano budzi dzwonek. Na wyświetlaczu widnieje numer „110". „Tu Thorsten Brinkmann z Federalnego Urzędu Kryminalnego" – słyszy. „Pani oszczędności są zagrożone. Musi je pani natychmiast przekazać funkcjonariuszowi, który już jedzie". Kobieta pakuje gotówkę, biżuterię, złoto. Oddaje całe życie obcemu. To klasyczna metoda klanów, oparta na spoofingu, czyli technice pozwalającej podszyć się pod dowolny numer. Tureckie centra call center w Izmirze wydają polecenia, a „odbieracze" – młodzi, bezrobotni mężczyźni – jeżdżą po Niemczech i zbierają łupy warte miliony euro. Skutek? Emeryci mówią potem: „Chciałabym umrzeć ze wstydu".

Czasem wystarczy sama reputacja. Gdy urzędnicy budowlani w berlińskiej dzielnicy Neukölln mieli rozebrać nielegalnie postawioną altanę Issy Rammo, odmówili z obawy przed konsekwencjami. Dopiero obstawa jednostki antyterrorystycznej SEK dała im odwagę do wydania decyzji. W demokracji urzędnik powinien bać się prawa, lecz w Berlinie lat 2010. bał się nazwiska. Tę kpinę z państwa dopełnił Ibrahim Miri, skazany za 18 przestępstw i deportowany do Libanu. W 2019 roku po prostu wrócił do Niemiec i złożył wniosek o azyl. To nie był żart, to był policzek wymierzony Republice Federalnej, symbol jej niemocy.

Dlaczego jednak ta historia nie wydarzyła się w przypadku Polaków? W 1989 roku w Berlinie stanowili oni największą grupę narodową z tak zwanym „Duldungiem”, czyli statusem pobytu tolerowanego. Mimo to nie powstał z nich żaden klan Rammo, Al Zein czy Miri. Przyczyna leży głębiej niż w statystykach. Polacy nie mieli w swoim kulturowym DNA endogamii, czyli praktyki zawierania małżeństw wewnątrz własnej grupy, ani równoległego systemu prawa. Nasza przestępczość eksplodowała inaczej – w formie gangów lat 90., które były strukturami krótkotrwałymi, opartymi na charyzmie liderów, a nie na więzach krwi. My nie mamy

”

Fałszywy policjant: socjotechnika uderza w seniorów

Wyobraź sobie starszą kobietę w Dolnej Saksonii. Jest szósta rano, gdy dzwoni telefon. Na wyświetlaczu widnieje numer alarmowy „110” – to spoofing, czyli technika pozwalająca podszyć się pod dowolny numer. Głos w słuchawce przedstawia się jako Thorsten Brinkmann z Federalnego Urzędu Kryminalnego i informuje, że jej oszczędności są zagrożone. Kobieta musi je natychmiast przekazać funkcjonariuszowi, który jest już w drodze. Pakuje więc gotówkę, biżuterię i złoto. Otwiera drzwi i oddaje dorobek całego życia obcemu. To klasyczna metoda klanów, precyzyjnie zaprojektowana machina: tureckie call center w Izmirze, młodzi bezrobotni jako odbierający gotówkę krążący po Niemczech. Skala? Miliony euro. Skutek? Emeryci, którzy mówią potem dziennikarzom: „Chciałabym umrzeć ze wstydu”.

Altana Issy Rammo w berlińskim ogrodzie działkowym została postawiona nielegalnie. Z pozoru drobiazg urbanistyczny, w praktyce test na suwerenność państwa. Gdy urzędnicy budowlani z dzielnicy Neukölln otrzymali polecenie jej rozbiórki, odmówili, bojąc się konsekwencji. Dopiero gdy obok nich stanęła uzbrojona jednostka antyterrorystyczna SEK, odważyli się wydać decyzję. W zdrowej demokracji urzędnik powinien bać się wyłącznie prawa. W Berlinie w drugiej dekadzie XXI wieku bał się nazwiska. To był czytelny sygnał, kto naprawdę kontroluje fragmenty miasta, a kto tylko administruje nimi na papierze.

Ibrahim Miri, człowiek skazany za osiemnaście różnych przestępstw, został deportowany do Libanu. Jednak w 2019 roku po prostu pojawił się z powrotem w Niemczech i złożył wniosek o azyl. To nie był żart, lecz starannie wykalkulowana kpina z państwa, demonstracja jego niemocy. Jak osoba z taką kartoteką może wrócić jak do siebie? Gazety pisały, że sprawa Miriego to policzek wymierzony Republice Federalnej. W tym samym czasie jego ludzie w Bremie wciąż kontrolowali wejścia do dyskotek i barów. Bo kto kontroluje drzwi, ten kontroluje rynek narkotyków, haraczy i strachu.

W 1989 roku w Berlinie największą grupą narodową ze statusem „Duldung”, czyli tolerowanego pobytu, byli Polacy – 2550 osób. Jednak nie wyrósł z nich żaden klan na miarę rodzin Rammo, Al-Zein czy Miri. Dlaczego? Ponieważ Polacy nie mieli w swoim kulturowym DNA endogamii, czyli małżeństw wewnątrz własnej grupy, ani równoległego systemu prawa opartego na honorze. Nasza przestępczość eksplodowała

inaczej, w gangach lat 90., które były strukturami kruchymi, opartymi na charyzmie przywódców, a nie na więzach krwi. My nie mamy klanów. Mamy inne układy: nepotyzm, sitwy, sieci polityczno-biznesowe. To też są społeczeństwa równoległe, tyle że mniej spektakularne, a przez to trudniejsze do zdiagnozowania.

Arabskie klany w Niemczech nie powstały z powodu genów ani religii. Powstały z powodu serii błędnych decyzji państwa. Wyrosły na glebie polityki, która tolerowała obecność, ale odmawiała integracji, utrzymując ludzi w zawieszeniu i nie egzekwując prawa. W ciągu trzech pokoleń zrodziły się społeczeństwa równoległe, w których policja nie jest strażnikiem porządku, lecz wrogim intruzem. Polska musi tę lekcję przyswoić, zanim stanie przed podobnym wyzwaniem. Nie chodzi o strach, lecz o wiedzę. Klan zaczyna się tam, gdzie państwo się

Status Duldung: brak prawa do pracy napędza izolację

Berlin, rok 1989. W urzędowych rejestrach migracyjnych widnieje 6107 osób ze statusem „geduldet”, czyli „tolerowanych”. Formalnie są one zobowiązane do wyjazdu, lecz faktycznie pozostają w zawieszeniu. Największą grupę stanowią Polacy – 2550 osób. Za nimi plasują się Libańczycy, Palestyńczycy i Kurdowie z Libanu. Te dane wyglądają jak sucha statystyka, ale w jej zapisach kryje się historia o tym, kto stanie się częścią społeczeństwa, a kto zacznie budować własne. Polacy mieli swoje kościoły, szkoły i pracę na czarno, ale planowali powrót do kraju. Libańczycy mieli rodzinę i honor, ale także państwowy zakaz pracy, który zamknął ich w czterech ścianach blokowisk. Na tym zakazie wzniesiono fundamenty przyszłych klanów. „Wszystko zaczęło się od tego, że ich nie deportowano, ale też nie pozwolono im normalnie żyć” – pisał „Der Spiegel” w połowie lat 90. Państwo, które nie wybrało ani twardości, ani integracji, ukształtowało swoje społeczeństwo równoległe.

Dziś berlińska dzielnica Neukölln jest podręcznikowym przykładem Parallelgesellschaft – społeczeństwa równoległego. Tutaj nie zadaje się pytania: „co robisz?”, lecz: „do kogo należysz?”. Nazwisko funkcjonuje jak paszport, immunitet i waluta w jednym. „Rammo”. „Al Zein”. „Miri”. Ich wypowiedzenie w barze sprawia, że drzwi same się otwierają albo z trzaskiem zamykają. Pewien berliński policjant opowiadał w wywiadzie: „Czasem wystarczy, że ktoś się przedstawi, a wszyscy milkną. To jakby w pokoju pojawił się duch, którego nikt nie wzywał”. Na tym właśnie polega kapitał strachu. Nie trzeba używać przemocy, wystarczy sama reputacja. Tak rodzi się równoległy porządek, oparty nie na kodeksie karnym, lecz na sile nazwiska.

W języku niemieckich raportów policyjnych figuruje termin Paralleljustiz, czyli „równoległa jurysdykcja”. Brzmi to sucho i biurokratycznie, ale w praktyce oznacza coś niezwykle prostego: „Nie chodzimy do waszych sądów, rozstrzygamy spory sami”. Friedensrichter, tak zwani sędziowie pokoju, rozpatrują konflikty między rodzinami, a wachlarz kar jest ograniczony. Stosuje się albo odwet, zwany qisas, albo Blutgeld –

krwawe pieniądze płacone w ramach zadośćuczynienia. W efekcie ofiary wycofują zeznania, a świadkowie nagle cierpią na zbiorową amnezję. Policjant, który próbuje doprowadzić sprawę do końca, może pewnego dnia odkryć, że zdjęcia jego dzieci krążą w telefonach członków klanu. W praktyce oznacza to jedno: kodeks karny zostaje na papierze, a życie toczy się według kodeksu honoru.

Berlin zna ich z akcji, o których mówił cały świat. W 2014 roku w luksusowym domu towarowym KaDeWe grupa mężczyzn z klanu Rammo ukradła zegarki warte 817 260 euro. Cała operacja trwała 79 sekund. Siedemdziesiąt dziewięć sekund, które weszły do annałów niemieckiej kryminalistyki. Trzy lata później ten sam klan wyniósł z Muzeum Bodego stuletnią, złotą monetę „Big Maple Leaf" wartą 3,3 miliona euro. Jej waga wynosiła 100 kilogramów. Sposób działania był bezczelny i szokująco skuteczny. Moneta zniknęła bez śladu, najpewniej przetopiona na mniejsze sztabki. Takie spektakle pokazują nie tylko brawurę sprawców, ale

Kobiety klanu: rola słupów i zarządców nieruchomości

Policyjne konferencje prasowe to teatr siły. Mężczyźni, szerokie ramiona, złote łańcuchy i sportowe auta stanowią fasadę, za którą w cieniu działają kobiety. To one formalnie kupują nieruchomości, zakładają firmy i sygnują dokumenty. Dowodem jest sytuacja w Berlinie z 2018 roku, kiedy państwo skonfiskowało 77 nieruchomości klanu Remmo, a w dokumentach widniały żony, siostry i kuzynki. Prokuratorzy wskazywali wprost: kobiety w klanach nie stoją z boku, lecz są niezbędne do prania pieniędzy. Wynika to z faktu, że łatwiej uzyskują one niemieckie obywatelstwo, a ich kartoteki pozostają czyste, przez co nie przyciągają uwagi policji. Ich rola nie kończy się jednak na finansach. Wewnątrz klanu to one są strażniczkami lojalności, przekazując dzieciom fundamentalne wartości i ucząc, że rodzina stoi ponad wszystkim. To cicha, wewnętrzna edukacja, która okazuje się równie skuteczna jak brutalna siła mężczyzn.

Strategia 1000 ukłuć: nękanie administracyjne klanów

Po latach bezsilności politycy porzucili iluzję jednego, spektakularnego ciosu, który powaliłby hydrę. Zrozumieli, że tej wojny nie wygrywa się jedną bitwą. W 2017 roku państwo zmieniło więc zasady gry, wprowadzając nowe prawo konfiskaty mienia, które pozwalało odbierać nieruchomości kupione za gotówkę nawet bez prawomocnego wyroku za pranie pieniędzy. Na pierwszy ogień poszedł klan Rammo. Skonfiskowano im 77 nieruchomości. Symbolem stała się luksusowa willa, której okna po przejęciu świeciły pustką.

Strategię tę nazwano metodą „tysiąca ukłuć". Setki kontroli drogowych. Naloty na bary. Rewizje. Konfiskaty. Nie chodziło już o jedno wielkie zwycięstwo, ale o systematyczną, codzienną uciążliwość, która miała skruszyć mit nietykalności. Państwo w mieście postanowiło odzyskać monopol na przemoc, choćby tę

symboliczną. „Chcieliśmy, by życie w klanie przestało się opłacać” – tłumaczył logikę tej wojny na wyniszczenie minister spraw wewnętrznych Berlina.

Polska migracja: integracja zamiast struktur klanowych

W 1989 roku w Berlinie największą grupą narodową z „Duldungiem”, czyli statusem pobytu tolerowanego, byli Polacy – łącznie 2550 osób. Mimo to nie wyrosły z nich żadne klany na miarę rodzin Rammo, Al-Zein czy Miri. Dlaczego? Ponieważ w polskim DNA brakowało endogamii i równoległego prawa opartego na rodzie. Nasza przestępczość eksplodowała inaczej – w formie gangów lat 90., które były strukturami krótkotrwałymi, opartymi na charyzmie przywódców, a nie na więzach krwi. My nie mamy „klanów” w bliskowschodnim rozumieniu, mamy za to inne układy: nepotyzm, sitwy, sieci polityczno-biznesowe. To również są porządki równoległe, tyle że mniej spektakularne, a przez to trudniejsze do zauważenia.

Arabskie klany w Niemczech nie powstały z powodu genów ani religii, lecz z powodu błędnej polityki państwa. Wyrosły z tolerowania bez integracji, z zawieszonego statusu prawnego i braku konsekwencji w egzekwowaniu prawa. W ciągu trzech pokoleń na tym gruncie wyhodowano społeczeństwa równoległe, w których policjant nie jest strażnikiem porządku, lecz jest postrzegany jako intruz. Polska musi przyswoić tę lekcję, zanim sama stanie przed podobnym problemem. Nie chodzi o strach, ale o wiedzę. Klan zaczyna się tam, gdzie państwo się cofa.

Wszystko zaczęło się od statusu „tolerowanych”. W Berlinie w 1989 roku na listach urzędów migracyjnych figurowało 6107 osób ze statusem **geduldet**. Formalnie byli zobowiązani do wyjazdu, faktycznie jednak pozostawali w kraju. Największą grupę stanowili Polacy, a za nimi Libańczycy, Palestyńczycy i Kurdowie z Libanu. Te suche dane z urzędowej tabelki skrywają historię o tym, kto stanie się częścią społeczeństwa, a kto zacznie budować własne. Polacy mieli swoje kościoły i szkoły, pracowali na czarno, ale wciąż myśleli o powrocie do ojczyzny. Libańczycy mieli rodzinę i honor, ale też państwowy zakaz pracy, który zamknął ich w czterech ścianach blokowisk. Na tym zakazie zbudowano fundamenty przyszłych klanów. Jak pisał „Der Spiegel” już w połowie lat 90.: „Wszystko zaczęło się od tego, że ich nie deportowano, ale też nie pozwolono im normalnie żyć”. Państwo, które nie wybrało ani twardości, ani integracji, samo wyhodowało swoje społeczeństwo równoległe.

Dziś berlińska dzielnica Neukölln jest podręcznikowym przykładem **Parallelgesellschaft**, czyli społeczeństwa równoległego. Tutaj nie zadaje się pytania „co robisz?”, lecz „do kogo należysz?”. Nazwisko działa jak paszport, immunitet i waluta w jednym. Rammo, Al-Zein, Miri – kiedy wypowiadasz te nazwiska w barze, drzwi same się otwierają albo same się zatrzaskują. Pewien berliński policjant opowiadał w wywiadzie, że czasem wystarczy, by ktoś przedstawił się nazwiskiem, a wszyscy milkną. To tak, jakby w pokoju pojawił się duch, którego nikt nie wzywał. Na tym właśnie polega kapitał strachu: nie trzeba używać

przemocy, wystarczy sama reputacja. Tak rodzi się równoległy porządek, oparty nie na kodeksie karnym, lecz na sile nazwiska.

W języku niemieckich raportów policyjnych funkcjonuje termin **Paralleljustiz**, czyli równoległa jurysdykcja. Brzmi to sucho, ale w praktyce oznacza prostą zasadę: „nie chodzimy do sądu, rozstrzygamy spory sami". Rolę sędziów pełnią tak zwani *Friedens

Rynek nieruchomości: pranie brudnych pieniędzy klanów

Czarne pieniądze, białe fasady. W 2018 roku niemiecka policja przeprowadziła operację, która wstrząsnęła Berlinem – skonfiskowano 77 nieruchomości należących do klanu Rammo. Były tam domy, mieszkania i działki, a wszystkie kupione za gotówkę. To podręcznikowy przykład prania brudnych pieniędzy, gdzie gotówka z haraczy i narkotyków zamienia się w tynk i cegłę. Te budynki nie są tylko inwestycją; stoją w sercu stolicy niczym pomniki równoległego systemu, który rzuca wyzwanie państwu. Jak ujął to jeden z prokuratorów: „Gdy widzimy pięciopokojowe mieszkanie kupione za 300 tysięcy euro w gotówce przez osobę bez oficjalnego zatrudnienia, wiemy, że mamy do czynienia z klanem".

Te nieruchomości to jednak coś więcej niż tylko lokata kapitału. To narzędzie budowania kontroli nad przestrzenią. Kiedy w jednym bloku połowa mieszkań należy do tej samej, potężnej rodziny, pozostali sąsiedzi szybko uczą się, że obowiązuje tu inne prawo. To cicha aneksja terytorium, metr po metrze. Strach staje się częścią krajobrazu, a państwo traci kolejny fragment monopolu na ustanawianie reguł.

Ekonomia strachu nie ogranicza się do sąsiadów i przedsiębiorców – paraliżuje również instytucje państwa. Urzędnicy w berlińskiej dzielnicy Neukölln bali się podpisać nakaz rozbiórki nielegalnej altany należącej do Issy Rammo. Sędziowie rezygnowali z prowadzenia procesów, gdy kluczowi świadkowie nagle zapadali na zbiorową amnezję. Policjanci byli zmuszani do organizowania ochrony dla własnych rodzin. Klan nie tylko buduje własną ekonomię, ale aktywnie pasożytuje na tej oficjalnej. Państwo płaci podwójnie: raz tracąc podatki, drugi raz wydając miliony na naloty, procesy i ochronę. Niemieccy ekonomiści, licząc „koszty klanów", doszli do wniosku, że największą stratą nie są pieniądze, lecz zaufanie obywateli do państwa. A to najdroższa waluta ze wszystkich.

W Polsce nie mamy do czynienia z klanami w sensie rodowym, ale posiadamy własne, lokalne ekonomie strachu. Biznesmen, który wie, że nie dostanie publicznego kontraktu, jeśli nie zapisze się do „właściwej" izby gospodarczej albo nie wesprze „dobrowolną" darowizną odpowiedniej fundacji, również płaci haracz. Tyle że w białych rękawiczkach. Zamiast Rolexa i AMG mamy ustawiony przetarg w powiecie. Różnica

tkwi w estetyce, nie w mechanizmie. Psychologia strachu i chłodnej kalkulacji pozostaje bowiem uniwersalna.

Arabskie klany w Niemczech są żywym dowodem na to, że przestępczość zorganizowana to nie tylko zjawisko kryminalne, lecz cały system społeczno-ekonomiczny. W tym systemie strach jest walutą, a reputacja siły działa jak bank centralny. Państwo, które nie rozumie tej logiki, jest skazane na porażkę. „To nie jest wyłącznie problem policji. To problem psychologii zbiorowej" – pisał dziennikarz Olaf Sundermeyer. Ludzie muszą wierzyć, że państwo jest silniejsze od klanu. Jeśli zaczną wierzyć w coś przeciwnego, państwo faktycznie przestaje istnieć.

W Neukölln istnieją miejsca, gdzie spory rozstrzyga się nie w sądzie rejonowym, lecz w meczecie. Imam lub tak zwany sędzia pokoju zbiera zwaśnione strony i wydaje wyrok. Orzeka, kto ma zapłacić odszkodowanie, kto ma się wycofać, a kto zyskuje prawo do odwetu. Państwo nazywa to nielegalną jurysdykcją równoległą. Kl

Kapitał strachu: wymuszenia i paraliż lokalnych urzędów

Altana Issy Rammo była z pozoru urbanistycznym drobiazgiem, nielegalnie postawioną konstrukcją w ogrodzie. Kiedy jednak urzędnicy budowlani w berlińskim Neuköllnie otrzymali polecenie jej rozbiórki, odmówili, sparaliżowani strachem przed konsekwencjami. Dopiero gdy obok nich stanęła uzbrojona jednostka antyterrorystyczna SEK, odważyli się wydać decyzję. W zdrowej demokracji urzędnik powinien bać się prawa. W Berlinie przełomu dekad bał się nazwiska. Podobnie było z Ibrahimem Mirim, człowiekiem skazanym za osiemnaście przestępstw i deportowanym do Libanu, który w 2019 roku po prostu wrócił do Niemiec i złożył wniosek o azyl. To nie był żart. To była kpina z państwa, symbol jego całkowitej niemocy, policzek wymierzony Republice Federalnej.

Wszystko zaczęło się od statusu zawieszenia. W 1989 roku na listach berlińskich urzędów migracyjnych figurowało ponad sześć tysięcy osób ze statusem „geduldet", czyli „tolerowanych" – formalnie zobowiązanych do wyjazdu, a faktycznie pozostających. Największą grupę, liczącą 2550 osób, stanowili Polacy. Obok nich było 455 Libańczyków oraz 1225 Palestyńczyków i Kurdów z Libanu. Ta sucha statystyka kryje w sobie historię o tym, jak państwo, które nie potrafiło wybrać ani twardości, ani integracji, samo wyhodowało swoje społeczeństwo równoległe. Polacy mieli pracę na czarno, kościoły i myśl o powrocie, podczas gdy Libańczycy, obłożeni zakazem pracy, zostali zamknięci w czterech ścianach blokowisk. Na tym zakazie zbudowano fundament przyszłych klanów.

Dziś Neukölln to podręcznikowy przykład Parallelgesellschaft, społeczeństwa równoległego. Tu nie pyta się „co robisz?”, lecz „do kogo należysz?”. Nazwisko działa jak paszport, immunitet i waluta w jednym. Kiedy w barze padają słowa „Rammo”, „Al Zein” czy „Miri”, drzwi same się otwierają albo zatrzaskują. To kapitał strachu, który nie wymaga już użycia przemocy – wystarczy reputacja. Tak rodzi się porządek oparty nie na kodeksie karnym, lecz na sile nazwiska. Ten porządek ma też własny wymiar sprawiedliwości, w niemieckich raportach określany jako Paralleljustiz, czyli równoległa jurysdykcja. Spory rozstrzygają Friedensrichter, „sędziowie pokoju”, a karą jest odwet albo Blutgeld – krwawe pieniądze. Świadkowie nagle tracą pamięć, a ofiary wycofują zeznania.

Klany manifestowały swoją siłę poprzez spektakularne akcje, które obnażały bezradność państwa. W 2014 roku grupa z klanu Rammo w 79 sekund ukradła z domu towarowego KaDeWe zegarki warte ponad 800 tysięcy euro. Trzy lata później ten sam klan wyniósł z Muzeum Bodego stukilogramową złotą monetę „Big Maple Leaf” o wartości 3,3 miliona euro. Moneta przepadła, najpewniej przetopiona. To nie były zwykłe kradzieże, lecz symboliczne wyzwania rzucone państwu, demonstracja, kto tu naprawdę ma odwagę. Ekonomia klanu opiera się jednak na bardziej prozaicznych działaniach: haraczach, czyli Schutzgeld, pieniądzach za „ochronę” barów i restauracji, oraz na wyrafinowanych oszustwach, jak metoda „na fałszywego policjanta”, której ofiarami padają tysiące seniorów.

Przez lata państwo pozostawało w odwrocie. W 2015 roku w Hameln tłum zaatakował kamieniami polic

Szwecja i Włochy: konfiskata mienia uderza w mafię

Szwecja przez lata chlubiła się utopią „otwartości” i „równości”, lecz w 2020 roku stała się europejskim liderem w statystykach gangsterskich strzelanin. Policyjne raporty mówią wprost, że wiele z tych grup wywodzi się z rodzin imigranckich, które zorganizowały się w szczelne, rodowe struktury. W Malmö czy Sztokholmie młodzież o korzeniach arabskich i somalijskich przejęła rynek narkotyków, wprowadzając nową jakość przemocy. Strzelaniny w biały dzień. Granaty wrzucane do klatek schodowych. W 2023 roku premier Szwecji przyznał z rezygnacją: „Straciliśmy kontrolę nad niektórymi dzielnicami”. To gorzkie echo niemieckiego błędu, dowodzące, że społeczeństwo równoległe, pozostawione bez reakcji, nieuchronnie rodzi brutalną przemoc.

Niemiecki problem ma swoje włoskie lustrzane odbicie, choć tam nikt nie musi tłumaczyć, czym jest ród w przestępczości. Kalabryjska ’Ndrangheta to hermetyczna struktura, w której więzy krwi stanowią absolutny fundament, a prawo honoru i rodziny stoi ponad prawem państwa. Różnica polega jednak na strategii. Włosi walczą z mafią od dekad, tworząc specjalistyczne ustawy, trybunały i elitarne oddziały policji. Tymczasem Niemcy przez lata udawały, że w berlińskim Neukölln nie wyrasta im coś niebezpiecznie podobnego, tyle że

w importowanej wersji. „To, co Włosi znają od stu lat, my poznajemy dopiero teraz” – skwitował gorzko jeden z niemieckich kryminologów.

Podobne echo, choć w innej tonacji, słychać za oceanem. W Stanach Zjednoczonych mechanizm jest znajomy, nawet jeśli sceneria się zmienia. Włoskie gangi, chińskie triady czy latynoskie filie karteli – wszystkie zaczynały w gettach dla imigrantów. USA od początku dysponowały jednak narzędziami twardej walki, takimi jak ustawa RICO, pozwalająca ścigać całe organizacje przestępcze, masowe procesy i głęboka infiltracja przez FBI. Mimo to nawet tam gangi etniczne przetrwały dziesięciolecia, ponieważ ród, język, religia i terytorium to naturalne spoiwo dla „społeczeństw równoległych”, odpornych na asymilację.

Niemcy, Szwecja, Włochy, USA. Scenariusze różnią się w szczegółach, ale ich wspólny mianownik jest niepokojąco prosty. Wszędzie tam, gdzie państwo rezygnuje z realnej integracji i skutecznej kontroli, w próżni natychmiast rodzi się lojalność wobec innego prawa. W jednym miejscu będzie to szariat i honor, w drugim ’Ndrangheta i jej omertà, czyli zmowa milczenia, w trzecim zaś kult ulicy i kodeks gangu. Mechanizm pozostaje ten sam. Rodzina jako bastion, strach jako waluta, państwo jako intruz. Klan zaczyna się tam, gdzie państwo się cofa.

Kryzys edukacji: ulica wygrywa walkę o autorytet

W rodzinach klanowych przestępczość nie jest wyborem, lecz dziedzictwem. Role są rozpisane od kołyski. Starsi planują, młodsi wykonują. Chłopiec, który w wieku 12 lat stoi na czatach przy włamaniu, jako osiemnastolatek ma już status, Rolexa na nadgarstku i Mercedesa AMG pod blokiem. W tej subkulturze prestiż mierzy się nie ocenami w szkole, lecz grubością portfela i zdolnością do demonstracji siły. Dziewczęta uczone są innej lojalności: mają wspierać, prać brudne pieniądze i użyczać nazwiska do rejestracji nieruchomości. To nie przypadek, że kobiety odgrywają kluczową rolę w legalizacji majątku, gdyż często szybciej zdobywają obywatelstwo i budują czystą historię finansową. To nie jest filmowa mafia. To codzienna socjalizacja, która produkuje pokolenia wychowane w logice równoległego prawa.

W tym miejscu należy postawić fundamentalne pytanie. Dlaczego w Polsce, która również przyjęła tysiące migrantów, nie powstały podobne struktury? W 1989 roku Polacy stanowili przecież największą grupę „tolerowanych” w Berlinie – 2550 osób. Z tego zalążka nie narodziły się jednak przestępcze dynastie. Odpowiedź tkwi w odmiennej kulturze migracyjnej. Polacy traktowali pobyt w Niemczech jako etap: praca na czarno, transfer pieniędzy do kraju, wreszcie powrót. Nie budowali endogamicznych, zamkniętych rodów, które stawiają lojalność rodzinną ponad państwowym prawem.

Jeśli Polacy tworzyli struktury przestępcze, miały one charakter gangów – efemerycznych grup uzależnionych od charyzmy lidera, a nie od więzów krwi. Brakowało dynastii zdolnej dziedziczyć władzę

przez pokolenia. Nie oznacza to jednak, że jesteśmy wolni od społeczeństw równoległych. U nas nie noszą one nazwisk Rammo czy Al-Zein, lecz przybierają formę lokalnych układów polityczno-biznesowych, gęstych sieci nepotyzmu i koterii. Równie skutecznie potrafią one wyłączyć państwo z całych fragmentów życia publicznego. Różnica tkwi w estetyce, nie w mechanizmie.

Niemcy przegapiły moment krytyczny. Zamiast integracji zaoferowały prawne zawieszenie. Zamiast twardych zasad – politykę półśrodków. Efektem są społeczeństwa równoległe, które po dekadach trzeba zwalczać metodą tysiąca drobnych ukłuć. Polska, stojąca dziś u progu własnych wyzwań migracyjnych, otrzymuje niemiecką lekcję niczym ostrzeżenie wypisane na murze. Nigdy nie należy pozwalać na bezterminowy status „tolerowanego", nigdy nie godzić się na enklawy poza kontrolą państwa i nigdy nie rezygnować z monopolu prawa na rzecz honoru czy rodu. Jak pisał niemiecki dziennikarz Olaf Sundermeyer: „Kiedy państwo oddaje klanowi kawałek terytorium, jego odzyskanie kosztuje całe pokolenia".

Szkoła staje się poligonem tego starcia. Nauczycielka z Neukölln opowiadała w wywiadzie, że gdy próbuje zwrócić uwagę chłopcu z rodziny X, słyszy w odpowiedzi: „Nie dotykaj mnie, wiesz, kim jest mój wujek?". To nie jest dziecinna przechwałka, lecz realna groźba. W tej dzielnicy edukacja nie ma szans w konkurencji z klanem, gdyż to klan daje status szybciej niż świadectwo z czerwonym paskiem. Rolex na przegubie jest cenniejszy niż piątka z matematyki. Piętnastolatkowie doskonale wiedzą, że „państwowy" sukces nie ma w ich świecie żadnej wartości. Szkoła uczy reguł państwa, klan uczy reguł życia. Ten drugi system wy

> Niemiecki przykład pokazuje, że bierność państwa wobec tworzących się enklaw ma swoją cenę. Czy Polska, stając w obliczu migracyjnych wyzwań, potrafi wyciągnąć wnioski z cudzych błędów? A może, w imię fałszywie pojętej tolerancji, sama wyhoduje własne demony, których zwalczanie pochłonie całe pokolenia?

Inspiracje

[1] **"Die macht der Clans"** Thomas Heise

2020 | DVA

Niemiecki dokumentalista, reżyser teatralny i pisarz, znany z filmów eksplorujących zjawiska społeczne w NRD i wpływ zjednoczenia Niemiec. Wykładał film i sztukę mediów na Uniwersytecie Sztuk Pięknych i Projektowania w Karlsruhe. Do jego najważniejszych dzieł należy „Heimat to przestrzeń w czasie".

German documentary filmmaker, theater director, and writer, known for his films exploring social phenomena in the GDR and the impact of German reunification. He taught Film and Media Art at the Karlsruhe University of Arts and Design. Notable works include 'Heimat is a Space in Time'.

Karlsruhe University of Arts and Design (formerly); DEFA Film Studios

Literatura uzupełniająca

Książki

Autorzy przywoływani w artykule:

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[2] "Bandenland. Deutschland im Visier von organisierten Kriminellen"

Olaf Sundermeyer

2017 | C.H. Beck | ISBN: 9783406707544



[3] "Gauland. Die Rache des alten Mannes"

Olaf Sundermeyer

2018 | C.H.Beck | ISBN: 9783406727115

[4] "Paralleljustiz"

Mathias Rohe, Mahmoud Jaraba

2020 | Senatsverwaltung für Justiz und Verbraucherschutz

Google Scholar

[5] "Paralleljustiz : eine Studie im Auftrag des Landes Berlin, vertreten durch die Senatsverwaltung für Justiz und Verbraucherschutz"

Mathias Rohe, Mahmoud Jaraba

2015 | Senatsverwaltung für Justiz, Verbraucherschutz und Antidiskriminierung

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] ""Parallel Justice" and the Rule of Law in Germany"

Marie-Claire Foblets

2023 | MPI für ethnologische Forschung

Google Scholar

APA ONE Publishing System

Fundacja Dobre Państwo © 2026

Article ID: e998c7f8-d8ed-4d28-b389-bdea6432048f